

świetle księżycy. Jedne nie posiadały wcale oprawy, drugie oprawione były w brosze, naszyjniki, pierścionki, naramienniki, łańcuchy i różne inne złote klejnoty. Tworzyły majątek, przewyższający swym ogromem i nadzwyczajnym bogactwem marzenia wszelkie i nadzieje.

Kuferek żelazny mógł mieć trzy stopy szerokości i z pięć wysokości. W jednym jego rogu dostrzedz można było czworokątne pudełeczko złote, szczelnie przykryte wiekiem emaliowanym. Liczyło ono razem przeszło cztery cale objętości.

Colliver sięgnął po nie drżącą od wzruszenia ręką i podniósł wieko.

Nagle buchnęła zeń fala różowych, pogodnych jak jutrzienka światła, ześrodkowujących się i łączących w płomiennem ognisku, tworzącem jakby czarodziejskie źródło najcudniejszej purpury. Promieniejący wspaniale w swojej skrytce, spoczywał na pościółce z brokatu Wielki Rubin z Ceylonu tak spokojnie i cicho, jakby nie był celem pożądań namiętności, karmiącej się krwią ludzką, jakby nie ciążyły na nim łyzy i przekleństwa całych moze pokoleń.

Pałający chciwością Colliver już chciał go ująć w palce, gdy niespodzianie i jakby mimowoli położył mu rękę na ramieniu.

Dość miałem zbyt długo trwającego oczekiwania.

Prerażony, zadrżał całym ciałem, zerwał się na równe nogi i wyskoczył z dołu. Już sięgnął po nóż, który miał za pasem, już gotował się do skoku, gdy nagle ujrzał mnie przed sobą.

Zrzuciłem kapelusz z głowy i w pełni światła księżycowego stałem nieruchomy. Wiatr rozwiewał mi włosy i odsłonił czoło. Gotów byłem nożem, który trzymałem w ręku, odeprzeć napad, gdyby się rzucił na mnie. Lecz on się nie rzucił.

Postąpił krok naprzód, a gdy oczy nasze się spotkały, zakrył swoje obu rękami i zaczął cofać się w tył chwiejnym krokiem. Poczem ręce mu opadły bezwładnie wzdłuż zeszywniałego ciała, a w rozszerzonych źrenicach odmalował się wyraz bezgranicznego, okropnego przestachu. Z ust zaś pobladłych, z których nagle krew niekła, wyrwał się jakiś cichy, bezsłowny jęk, jakby wywołany silnem ściśnięciem dławiącej gardło dłoni.

Nie spuszczałem z niego mego płomiennego wzroku.

Po chwili rozległ się już nie jęk, lecz krzyk okropny, nie mający ze zwykłym krzykiem ludzkim nic wspólnego i zbudził śpiące mewy, które zerwały się z gniazd swoich, zaczęły krążyć nad naszymi głowami. Krzyk ten kilkakrotnie powtórzyły echa skał i pustego wybrzeża.

Wraz z ostatniem, w oddali konającym echem, Colliver upadł i po miękkim, wilgotnym piasku stoczył się do dołu.

Zapanowała zupełna cisza.

Po chwili zbliżyłem się nad brzeg wykopanej przez niego jamy.

Ujrzałem go klęczącego na dnie i pełnemi garściami przesypującego z dłoni do dłoni drogocenne kamienie. Mruczał przytem jakieś wyrazy bez związku i nucił od czasu do czasu po parę wierszy z ułożonych niegdyś przez siebie piosenek.

— Colliver! Szymonie Colliver! — zawołałem.

Nie odwrócił się nawet, nie spojrzął na mnie, tylko dalej przesypywał dyamenty, szmaragdy i szafiry, przypatrując się im ciekawie i przysłuchując dźwiękom, jakie wydawały, spadając na inne, wypełniające skrzynię.

— Szymonie Colliver! — krzyknąłem głośno. Nie ruszył się. Więc wskoczyłem do dołu, stanąłem przy nim i położyłem mu rękę na ramieniu.

Przerwał na chwilę swoją bezmyślną robotę i zwrócił na mnie mętne spojrzenie.

— Colliver! Chciałbym z tobą pomówić.

— A... tak, tak! Wiem, wiem... Znam cię... Jesteś, ma się rozumieć, Trenoweth... Ezechiel Trenoweth... Przychodzisz po skarb... ale za późno, za późno, za późno! Przecież nie żyjesz... już dawno nie żyjesz...

Sól morską wyżarła mi oczy, ręce zasypał piach..

Zamyślił się, jakby się nad czemś zastanawiał i mruczał dalej:

— Chwytnasz piasek w dłonie... Ach! ach! na co? po co?... Masz tu piękniejszy, różnokolorowy... Spójrz! jak czarowniemi mieni się barwami...

I znowu przez roztwarte palce przesypywał deszcz drogocennych kamieni.

— Tak, tak — szeptał po chwili, podnosząc na mnie pozbawione dawnego dyabelskiego wyrazu pobladłe oczy — znam cię. Jesteś Ezechiel Trenoweth... A może Amos?... albo Kasper? Mniejsza, który, bo już wszyscy pomarliście oddawna... oddawna. Ostatniego zabiłem i utopiłem przed rokiem... Nie, nie! wczoraj... w minioną noc... Żaden z was już się nie obłowi... żaden... żaden...

Życia pozbawił was czart!.. Życia pozbawił was czart!

Dwukrotnie, słabym głosem powtórzył nucony wiersz, jakby nie mógł sobie przypomnieć całej zwrotki. Poczem szeptał znowu:

— Patrzno! patrz! tylko co miałem czaszkę w ręku... czaszkę Johna Railton... Nie było w niej oczu... Gdzie się podziała? co się z nią stało?... Pozwól, że jej przyprawię nowe, śliczne oczy, zmieniające kolor za każdym drgnieniem... za każdym poruszeniem... Gdzie czaszka?... Daj mi ją zaraz! Nie możesz znaleźć?... Szukaj! szukaj!.. Albo, gdy mu je rzucę, niech sam znajdzie... a dam mu czerwone, błyszczące, cudne... Oto jedno, ogromne, pyszne, iskrzy się, pali, płonie...

W chwili, gdy wyciągnął rękę po Wielki Rubin z Ceylonu, chciałem go przytrzymać za ramię, lecz szybszy, a może silniejszy odemnie, zawył dziwnym jakimś zwierzęcym głosem i zgrzytając zębami, wyrwał mi się i schował rękę z kamieniem za plecy. Poczem, gdy się z nim borykałem, odepchnął mnie z błyskawiczną szybkością lewą ręką, a prawą z wielkim rozmachem, rzucił nieoceniony klejnot w morze.

Wielki Rubin przeleciał w powietrzu długim łukiem, iskrzącym się tysiącami blaskami i pogrążył się w szumiących falach.

Znikł... znikł na zawsze!

Ugrzązł prawdopodobnie między próchniejącymi deskami „Fortuny“, albo wśród zbieleńskich kości jej załogi. Tam, jak sądzę, leży dotąd, tam w głębi wód morskich ukrył swą piękność piekielną.

Tem lepiej!

Wszakże był symbolem zdrady, pożądliwości, rozboju, mordu i śmierci.

Ciążyły na nim liczne przekleństwa, niechże sam przeklęty będzie na zawsze! Serce rubinu jest krwią — mówią starzy ludzie — a oczy jego płomieniem pałacym. Tych zaś, którzy go posiadają, pożerający ogień musi być udziałem, a krew wiecznem dziedzictwem.

Z liczby szukających go i posiąść pragnących,

a niebacznych na przekleństwo, wiążące się z nim nie-rozerwalnie, pozostało dwóch tylko żyjących. On i ja.

Czemże byliśmy oba?... Rozbitki przeznaczenia i zbrodni, zesłaliśmy się tu na piaskach smutnego wybrzeża, u stóp ponurej Skały, w noc Bożego Narodzenia: jeden, samotnik, bez przyszłości, o sercu krwawiącym się i rozdartem, drugi...

Spojrzałem na Collivera.

Siedział skulony w kącie wykopanego dołu, patrząc na mnie oczami zamglonemi, w których obecnie malował się szal rozpaczy, wzbudzony żądzą posiadania Wielkiego Rubinu...

Pragnienie zemsty, które niedawno jeszcze wdało mojemu sercu, opuściło mnie na zawsze.

Nagle lekka, płytko po piasku ścieląca się fala, dobiegła nóg naszych i białą pianą bryznęła w jamę.

Obróciłem wzrok na morze.

Przypływ wzbierał szybko i za minutę mógł nas dosięgnąć. Wziąłem Collivera za ramię, wskazałem na szumiące wody i grożące nam w nich niebezpieczeństwo. Lecz biedny waryat znowu przykucał przed skrzynią i bawił się drogocennymi kamieniami. Wstrząsnąłem nim z całej siły, pragnąc go oprzytomnić. Nie chciał ruszyć się z miejsca. Mruczał coś niewyraźnie, albo nucił stare piosenki półgłosem.

Tymczasem bałwan po bałwanie, każdy piętrzący się coraz wyżej, nadpływał; skrapiał naszą odzież drobnym, słonym deszczem; chlustał nawet kiedy niekiedy fosforycznie migocącą wodą w rozwarty kuferek.

Nie było czasu do stracenia.

Uniosłem waryata w ramionach i postawiłem go na piasku, nad dołem. Następnie zamknąłem szybko wieko skrzynki, a klucz schowałem do kieszeni. Poczem wyskoczyłem sam z dołu i pociągnąłem towarzysza mego za sobą. Colliver, dziwnie obecnie łagodny, poddawał mi się lekko, nie stawiając wcale oporu, tylko z podziwem spoglądał na wody, zakrywające skrzynię ze skarbami, na które zwracał jeszcze pożądliwe oczy.

Wziąłem go za rękę i poprowadziłem na jeden z najwyższych węglów Skały Umarłego. Przy największym nawet przypływie nigdy nie osiągały go fale. Tam usiedliśmy oba, jeden obok drugiego, oczekując na świt jutrzienki.

Za zatoką rozkołysane dzwony kościółka w Polkimbrze witały pieśnią wesela święto Bożego Narodzenia. Zdawały się wołać: „Pokój na ziemi ludziom dobrej woli!“

Mało mi już pozostaje do powiedzenia.

Nazajutrz, po odpływie, wraz z Józefem Roscortą i innymi rybakami, mymi starymi znajomymi z lat upłynionych, odkopałem skrzynię ze skarbem dziadka Amosa. Prócz klejnotów i drogich kamieni, znalazłem w niej moc złota i srebra w sztabach, oraz w monetach z różnych czasów, o stemplach różnych państw i krajów.

Przeznaczyłem wszystko na cele publiczne.

Nie wątpię, że czyny miłości bliźniego i chrześcijańskiego miłosierdzia zetrą ze skarbów piętno zbrodni i zmyją kalające je ślady łez i krwi ludzkiej.

K O N I E C

